№ 47. Warszawa, dnia 7 (19) Listopada 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

TREŚĆ: Pogadanka o wypadkach jakie mogą sprowadzić zagładę globu ziemskiego. — Noc zaduszek. — Z dumek wieczornych (wiersz). — Facyenda łeb na łeb, szkic z przeszłości nieodległej, przez Aleksandra Półkozica. — Teatr. — Katarzyna Lavallier, przez Edwarda Delpit. — Wiadomości z pod naszej strzechy i z obczyzny. W Dodatku: Talizman Lynwood'ów (ark. 8).

POGADANKA

o wypadkach jakie mogą sprowadzić zagładę globu ziemskiego.

STREŚCIŁA

Ludwika Życka,

(według Kosmogonii Richarda i Końca świata Majewskiego.)

(Dalszy ciąg.)

IV.

W dalszym ciągu przypuszczalnych niebezpieczeństw, które mogą sprowadzić koniec świata naszego, poważne miejsce zabiera: *upadek ziemi na słońce* zpowodowany siłą przyciągania słonecznej masy. Już spostrzeżono oddawna, że szybkość obrotu kuli ziemskiej, zmniejsza się a co za tem idzie, średnia długość dnia ziemskiego, powiększa się.

W każdem stuleciu, doba przedłuża się o jedną czterdziesto drugą część sekundy. Kiedyś, kiedy kula ziemska zastygała, doba nasza miała dzisiejszych godzin tylko 17, bo obrót ziemi koło osi odbywał się daleko prędzej. Zwolnienie jego, gotuje ziemi po miliardach lat zagładę. Jest bowiem dowodem, osłabniania siły odśrodkowej, przez co bierze górę siła przyciągania i my wciąż, choć powoli zbliżamy się do słońca. Gdy ziemia zbliży się na 5,000,000 mil do słońca, rok będzie już liczył 45 i jedna czwarta dni dzisiejszych. A kiedy ziemia będzie od słońca o 1 i pół miliona mil, długość dnia stanie się równą długości roku, to jest że cały obieg ziemi naokoło słońca będzie trwał tyle czasu co i obrócenie się ziemi koło jej własnej osi i tak ziemia zataczając coraz bliższe kręgi, może w końcu spaść na słońce i w niem się roztopić.

Teraz zapytacie mnie zapewne czytelnicy moi, cò to wpływa na zwolnienie obrotu ziemi i zbliżanie się jej do słońca?

Otóż są dwa źródła tego zakłócenia porządku: jednym jest wpływ przyciągania księżyca, który sprawiając przypływy i odpływy morza zakłóca nieustannie równowagę kuli ziemskiej, drugą zaś jest opór jaki ruchowi ziemi stawia eter, rozlany w całej przestrzeni.

Wiadomo z początków fizyki, że tam gdzie się jedno ciało znajduje, nie może w tym samym czasie znajdować się inne, planeta więc nasza w biegu swoim przedziera się ciągle przez nowe fale eteru i zużywa na to część swojej siły.

Jakkolwiek eter jest substancyą niezmiernie delikatną i jakkolwiek bardzo niewielka cząstka siły tej się zużywa, ale w przeciągu długich okresów lat tworzy się z małostek tych poważna suma. Te to przyczyny zwalniając działanie siły rzutu, zbliżają ziemię do słońca, która oderwawszy się od niego przed milionami lat w stanie gazowym, powróci doń i roztopi się znowu.

Upadku jednak tego ludzkość nie doczeka się nigdy, bo poprzedzić go musi inna katastrofa, grożąca upadkiem ziemskiemu globowi.

V.

Otóż w szeregu niebezpieczeństw grożących ziemi, możebnem jest spadnięcie księżyca na jej powierzchnię, co stanowczo zrujnuje ziemię, a ludzkość zgniecie i spali. Wystygły ten satellita, bez powietrza, chmur, wody i dźwięku, *gdyby* utracił naraz swoją siłę rzutu, to jako zależne od ziemi ciało, przyciągnięty przez nią, *spadłby na jej powierzchnię.*

Ale cóżby się z nim stało w takim razie? Wiadomo, że każde ciało im z większej wysokości spada, tem pod koniec drogi swej nabiera większej chyżości i siły.

W razie więc ostatecznego spotkania się ziemi z księżycem, ten ostatni przyciągany przez nią, spadając z wielką chyżością, zdruzgotawszy część skorupy ziemskiej, wpadłby do jej wnętrza, płynnego i roztopionego. Część ziemi przytem i księżyc cały zamieniłyby się w kłęby gazów, a gdyby istnieli astronomowie na Marsie lub innej jakiej planecie, mieliby sposobność podziwiania wspaniałego zjawiska, nagłego zabłyśnięcia wielkiem światłem zaledwo przez nich dostrzeganej planety ziemi. Nie obawiajmy się jednak oberwania księżyca i jego upadku na powierzchnię ziemi. Księżyc przybliża się ciągle wprawdzie, gdyż ziemia ma 50 razy większą siłę przyciągającą niż księżyc. Trzebaby bowiem 50 kul księżycowych na utworzenie jednego globu ziemskiego. Ale to się dzieje tak powoli, że wiele tysiącoleci przejdzie nim szybkość tego zbliżania stanie się dla nas widoczną. Istnieniu więc ludzkości z tej strony, nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOC ZADUSZEK.

Przełożyła z angielskiego

M. St.

I.

Młoda małżonka Jana Cosby, siedziała samotna przy kominie, utkwiwszy oczy w płonący na nim ogień.

Na kilka mil wokoło nie było równie pięknej jak ona kobiety: dobrego wzrostu, miała kształtną, pełną kibić, łagodny wyraz w ślicznych, modrych oczach i bujne jasno blond włosy. Trzy miesiące temu wyszła za Jana Cosby, najbogatszego dzierżawcę w okolicy. Ładna, młoda, zaślubiona porządnemu, zamożnemu człowiekowi, Mizia powinna się była czuć szczęśliwą i zadowoloną, a jednak siedzi teraz samotna już dobre dwie godziny przy kominie i wie że do północy mogłaby tak przesiedzieć a nikogo toby nie obeszło. Siedzi na nizkiem drewnianem krześle, wsparła łokieć na kolanach i na zgrabnej rączce opiera białą, teraz bardzo bladą twarzyczkę. W szafirowych oczach ma wyraz tak głębokiego smutku, że tylko patrzeć, jak ta mgła ćmiąca jej wzrok zamieni się w obfite łez strumienie; patrzy nieruchomie w ogień i duma.

Biedaczka! Bynajmniej nie stawia ona zamków na lodzie, lecz biegnie myślą w niedaleką przeszłość, do szczęśliwych swych panieńskich czasów, gdy w domu rodziców pomimo biedy i częstych trosk, ona, bracia jej i siostry zawsze byli weseli i szczęśliwi.

Była to noc 2 Listopada. W wielu okolicach na wsi wigilię smutnego dnia umarłych, dzień Wszystkich Świętych spędzają mieszkańcy w gronie rodziny i przyjaciół.

Rok temu jakże gwarno i wesoło spędziła ten wieczór w domu rodzicielskim. Przy żwawo płonącem ognisku dziewczęta kładły orzechy, z których wyprowadzały wróżby co do przyszłego małżeństwa. Ze śmiechem i żartami i dla Mizi położyły orzech, a obok niego dwa inne, przedstawiające: jeden pewnego dependenta z Glazgowa a drugi Jakóba Steenson, zgrabnego młodego kupca z sąsiedniego miasta. Lecz orzech Mizi zaledwie osmalił się trochę, gdy tymczasem orzechy młodych ludzi spłonęły na popiół.

Widząc to, przykro jej się zrobiło, wstyd jej było że pozostała samotną według wróżby; gdyż Jakób, na którego miały chrapkę wszystkie dziewczęta, podobał jej się. Chociaż inni chłopcy nazywali go miejskim elegancikiem, Mizia lubiła jego gładkie komplementa i poszłaby za niego, chociaż mu zawsze mówiła, że nie spieszy jej się wyjść za mąż.

Nie pokazała jednak po sobie, że ją obeszła zła wróżba, śmiała się najgłośniej ze wszystkich, a gdy po orzechach przyszła kolej na głąby kapuściane, najpierwsza pobiegła do ogrodu. Tym razem szczęśliwie się udało, gdyż w ciemności wyrwała z ziemi dorodny długi głąb, na którego korzeniu dużo było czarnej ziemi, co oznaczało dobrą wróżbę.

— Jakiego zamożnego męża dostaniesz, Miziu! — zawołały dziewczęta. — Ale kto on może być?

Jan Cosby wprawdzie dotąd nie spojrzał na nią ani razu, dopiero w kilka miesięcy później zaczął się starać, a jednak dziś nim rok upłynął jest jego żoną od kilku miesięcy!

— Ojcze ja go się boję niekiedy—rzekło dziewczę, gdy ojciec zachęcał ją, aby uprzejmą była dla bogatego dzierżawcy, który czynił im honor, starając się o nią.

— Nie bądź dzieckiem, córeczko! — uspakajał ją stary. — On jest trochę milczący i stanowczy, jak każdy człowiek z charakterem; ale mówię ci, że Jan Cosby ma dobre serce, wiem o tem na pewno.

To znów matka wzięła ją na stronę i ze łzą w oku mówiła jej o ciężkich troskach życia, jak im trudno było wystarczyć na wszystko, szczególniej od chwili, gdy im krowy padły ostatniej zimy. Jan Cosby zamożnym był człowiekiem, ale oboje rodzice za nic w świecie nie przymuszaliby żadnego z swych dzieci do zawarcia wstrętnego małżeństwa. Mizia nie mogła powiedzieć o Janie Cosby, aby jej był wstrętnym, wstydziła się znów wyznać, że był ktoś kogo przekładała nad niego, gdyż dotąd ostrożny Jakób Steenson nigdy jej nie mówił jeszcze o małżeństwie. A że Jan Cosby oświadczył się, a wszyscy sąsiedzi zazdrościli jej tak świetnego konkurenta, przyjęła go i została jego żoną.

Dziś w smutny dzień Zaduszny, siedzi samotna i duma.

Przebiega myślą, krótkie co do czasu, a jednak tak długie chwile swego małżeńskiego pożycia, a w miarę przesuwających się w pamięci wspomnień, twarz jej wyraża nietylko smutek ale gniew i ból. Od dnia ślubu chłodną była jak głaz względem męża, zimno przyjmowała jego pieszczoty i o ile mogła starała się ich unikać. Z początku młody małżonek brał to za dziewiczą wstydliwość i w jego oczach był to jeden więcej urok jego ślicznej żonki, ale gdy po kilku tygodniach Mizia w obecności męża była zawsze milcząca, wystraszona, lub co gorzej, z trudnością wstrzymywała ziewanie, zaczęło go to gniewać. W sercu jego powstało niezadowolenie, a że to był człowiek z charakterem silnym i całą duszą kochał swą żonę, niezadowolenie to zaczęło się objawiać w gniewnych wyrazach. Mizia, pieszczoszka całej swej rodziny, psuta pochwałami przyjaciół i znajomych, na gniew męża odpowiadała kostycznie a zarazem wyzywająco. Cosby nie był z natury bardzo cierpliwym, przyszło więc do sceny między małżonkami.

— Słuchaj — zawołał, chwytając ją silnie za ramię. — Musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy czujesz dla mnie przywiązanie jakie żona winna mieć dla męża, czy nie?

W tej chwili istotnie, człowiek ten wyglądał strasznie, ciemne jego oczy rzucały błyskawice gniewu, czoło miał groźnie namarszczone. Ręka jego jak kleszcze ściskała białe ramię młodej kobiety.

— Puść mnie! — zawołała przerażona. — Wiem, że jesteś moim mężem i żałuję tego niekiedy.

Wyraz wielkiego bólu odmalował się na twarzy Jana.

— Więc nie czujesz dla mnie najmniejszego przywiązania? — spytał.

— Najmniejszego! — zawołała młoda roztrzepanica, nie rozumiejąc prawie co mówi, gdyż dojmujący uścisk mężowskiej dłoni dokuczał jej boleśnie i pragnęła jedynie w tej chwili z niego się wyswobodzić.

Cosby puścił jej ramię, cofnął się kilka kroków, bezwiednie położył rękę na sercu, jakby słowa żony zraniły go śmiertelnie i ciężko oddychając rzekł powoli:

— Dzisiaj nic dla mnie nie czujesz! A czyś mnie kiedy kochała?

— Nigdy! — rzekła młoda kobieta, powodowana dziwnem jakiemś okrucieństwem. — Wyszłam za ciebie bo nie miałam ci nic do zarzucenia i wszyscy namawiali mnie na to małżeństwo, a teraz żałuję tego. Tu okropnie smutno w twym dużym domu; słowa nie ma do kogo przemówić; pusto i cicho jak w grobie. Lecz ponieważ jestem twoją żoną, muszę tu pozostać, jednego tylko pragnę, abyś mnie zostawił w spokoju.

Usłyszawszy to, młody małżonek zbladł śmiertelnie i zachwiał się, jakby kula weń ugodziła.

Widząc to Mizia pomyślała pogardliwie:

— Wszystko to udanie, komedya. — Jednak mimowoli uczuła się wzruszoną i chociaż dla niestracenia odwagi powiedziała jakby do siebie: — najlepiej zawsze mówić prawdę — przecież, sama nie wiedząc dlaczego, rozpłakała się i cały gniew stopniał we łzach.

— Tak—rzekł wolno Cosby, a głos jego brzmiał dziwnie — najlepiej powiedzieć prawdę. Dobrze, rozumiem cię teraz *i zostawię cię w spokoju.*

Dotrzymał słowa.

Od tego dnia upłynęły trzy miesiące, które młodej kobiecie wydały się niezmiernie długiemi. Jan był chmurny i milczący i widocznie unikał żony.

— Żyję tu jak przykuta do nieboszczyka — mówiła do siebie Mizia — pusto i głucho dokoła, nie ma żywej duszy oprócz starej Ewy, która jakoś krzywo na mnie patrzy. O, to oszaleć można!

Nie mogąc znieść grobowego milczenia jakie powyżej opisanej scenie zaległo dom młodych małżonków, Mizia próbowała gniewu i szyderstwa, ale spojrzawszy w posępną twarz męża, zaprzestawała jednego i drugiego, drżała przed nim. W gruncie było to niezłe wcale stworzenie; młoda była a więc nierozważna, nie zastanawiała się nad tem co mówiła, szła jedynie za wrażeniem chwili, ale Jan nie wiedział o tem wszystkiem, a pozornie charakter jej przedstawiał się inaczej. Po niejakim czasie stała się pokorną i łagodną, gdyż chłód i milczenie męża wydały jej się stokroć przykrzejszemi niż jego pieszczoty, których dawniej unikała. Ale wszystkie nieśmiałe jej usiłowania aby wrócić do dawnego stanu rzeczy, Jan przyjmował gorzkim uś-

miechem, mrożącym rozumie się delikatną gałązkę oliwną, którą mu trwożliwie podawano. Widząc to, młoda kobieta powiedziała sobie zdesperowana, że wolałaby już jego gniew niż to ironiczne milczenie.

Raz w ciągu swego małżeńskiego żywota, Mizia, nie mogąc dłużej znieść tego osamotnienia, postanowiła pójść do rodziców. Folwark dzierżawiony przez jej męża był duży i piękny, ale odosobniony od innych. Przemknie się niepostrzeżona wśród pól bujnym okrytych kłosem, Jan gdzieś w przeciwnej stronie pracując nie spotka jej, a ona szybko przebiegnie te kilka mil (angielskich), dzielące ją od rodzicielskiego domu i uściska swoich ukochanych. Lecz właśnie gdy szła wzdłuż ostatniego pola, obsiewanego przez jej męża, drżąc aby go nie spotkać, Jan najniespodziewaniej zjawił się na skraju lasu i patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Mizia przystanęła, niewiedząc co robić.

— Wyszłaś na przechadzkę — rzekł Cosby, przerywając milczenie wbrew zwyczajowi swemu.— Wróć do domu, bo już czas.

Nie rzekłszy ani słowa, Mizia zawróciła ku domowi; teraz nie miała odwagi powiedzieć mu prawdy. Dawniej pyszną była ze swej urody, teraz spokorniała. Jan stał w miejscu jak posąg z granitu i patrzył na nią. Uszedłszy dobry kawał drogi, młoda kobieta obejrzała się prędko i zobaczyła, że stał wciąż na tem samem miejscu, dziwna rzecz i chociaż był od niej dosyć oddalony, bała go się jednak i w tej chwili.

— To nie do zniesienia — mówiła z płaczem do siebie. A jednak czuła, że musi to znosić.

Oto dlaczego w ten wieczór smutnego dnia umarłych, młoda małżonka Jana Cosby siedziała samotna przy jasno płonącem ognisku i płakała.

A gdzie był wtedy Jan? Prawdopodobnie w oberży pod „Ciekawą Gęsią", gdyż codzień po wieczerzy wychodził z domu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DUMEK WIECZORNYCH.

Biada temu, kto życie zatopił w marzeniach,
Z których bez ciężkiej pracy czynów być nie-[może!
Biada temu, kto światły pogrążył się w cieniach
I temu, kto z dróg wiedzy wstąpił na rozdroże!...

Ożywcza siła schodzi po słońca promieniach,
Wcielenia potrzebują nawet myśli Boże;
A więc do pracy z wiarą! niech w społecznym bycie
Marzone ideały znajdą swe odbicie.

* * *

Nienawidzę rycerzy z rodu Don-Kiszotów,
Choć prawom swej godności pozostają wierni;
Nienawidzę krzykaczy w masce patryotów,
Nad wszystko nienawidzę zbydlęciałej czerni.

Ludzi zasług i wiedzy jam uwielbiać gotów,
Czy są w wieńcu laurowym, czy w koronie z cierni;
A tych jestem wspólnikiem i kocham jak trzeba,
Co pracują dla ziemi, a żyją dla nieba.

* * *

Śmierć swoje żniwo kosi. Gdzież są nasi starzy?
Ani jednej niewidzę ze znanych mi twarzy:
Wszystko w mogile, wszystko znikło jak cienie,
A dokoła zakwitło młode pokolenie.

Przyjaciele rówieśni! azaliż to dawno,
Byliśmy młodzi, dzielni, śnili przyszłość sławną?
Dziś sny te się rozwiały, a choć młoda dusza,
Jednakże już nam czoła siwizna przyprusza.

I wy dziewice nasze! czarodziejki nasze!
Gdzież są wasze uroki, gdzież są wdzięki wasze?
Ah! przekwitły i zwiędły! wy już żony, matki,
A wokoło was rosną podobne wam kwiatki.

Czas goni, my starzejem; ej smutna to sprawa!
Dni nasze jak cień giną, my więdniem jak trawa.

Antoni Kruman.

FACYENDA ŁEB NA ŁEB.

(SZKIC Z PRZESZŁOŚCI NIEODLEGŁEJ.)

PRZEZ

Aleksandra Półkozica.

Dalszy ciąg.)

Jan, który miał dosyć przenikliwości wrodzonej i zbyt dobrze znał pana Rocha, ażeby się miał pomylić na wyrazie jego fizyognomii, dostrzegł i zdumienie i cień zakłopotania w spojrzeniu jakie małżonek pani Agaty rzucił nań lękliwie. Lecz raz już odważywszy się przemówić w przedmiocie tak ważnym, a pewnie też czerpiąc odwagę i w owym pocałunku, który modre oczęta Rózi zniosły tak heroicznie, ujął rękę pana Rocha i całując go z uszanowaniem w ramię, mówił dalej z coraz wzrastającem wzruszeniem:

— Przebacz, szanowny panie, moją śmiałość. Wiem dobrze, iż zarówno stanowisko waszego domu w okolicy, jak wysokie przymioty panny Rozalii, nadają panu prawo spodziewać się dla niej świetniejszego zamęźcia. Lecz czcigodny panie! jam młody jeszcze i choć nie bogaty, posiadam jednak podstawę na której zdołam rozwinąć działalność szerszą...

Być może iż nigdy nie zdołam otoczyć córkę waszą blaskiem przepychu, lecz za to przysięgam, że ją otoczę szacunkiem i miłością bez granic. Bo ja, drogi panie... drogi ojcze, chciałbym powiedzieć... kocham Rózię najczulej i zdaje mi się, że to moje uczucie znalazło wzajemność wjej czystem sercu...

I rozrzewniony Jan poniósł do ust rękę pana Rocha, który także podbity szczerą, serdeczną wymową młodzieńca, słuchał go życzliwie wprawdzie lecz z wyrazem twarzy oznaczającym smutne zwątpienie.

A zwątpienie to uwydatniło się bardziej jeszcze w głosie zacnego obywatela, skoro zwróciwszy się ku Janowi, rzekł:

— Ja, bo tam, widzisz kochany panie, nie miałbym nic przeciwko oświadczeniu twojemu. Bóg widzi, że w sercu mojem nie ma pychy i że wolałbym widzieć Rózię szczęśliwą w miernym bycie, niż bogatą i błyszczącą w świecie a pozbawioną domowego szczęścia. Ale... drogi mój chłopcze... wyznam ci szczerze, że moja wola nie jest w tym razie decydującą. Wreszcie, znasz dobrze nasze stosunki domowe, znasz moją żonę... i wiesz, jak dalece nabiła sobie głowę świetną dla córek przyszłością. Wszakci to nawet, w imię tej ich karyery jedynie, przedsięwzięła pozbyć się rodowego majątku i przesiedlić się do Warszawy. Powiem ci więc, że ani myślić można iżby pani Agata zgodziła się wydać Rózię za ciebie, który choć jesteś młodym, rozumnym, przystojnym młodzieńcem i wcale „słusznym" człowiekiem nie posiadasz jednak takiej pozycyi w świecie o jakiej ona marzy dla przyszłych zięciów swoich.

— Lecz... Rózia mnie kocha i będzie ze mną szczęśliwą! — zawołał Jan błagalnie.

Widoczny cień niezadowolenia przemknął po twarzy pana Rocha, który rzekł:

— Rózia cię kocha?... powiadasz. A zkądże wiesz o tem? — zapytał z pewną urazą.

Jan milczał zakłopotany widocznie.

— Czy ci to powiedziała sama? I czyś śmiał pytać o to młodą panienkę, bez uprzedniego upoważnienia rodziców? — ciągnął dalej pan Roch, głosem coraz surowszym, wyjmując dłoń swoją z ręki Jana i odsuwając się od niego nieco.

— Nie, szanowny panie — odrzekł po chwili młodzieniec. — Anim się ważył pytać pannę Rozalię o jej uczucia dla mnie, ani też wyjawiłem jej moje. Lecz... przed chwilą, wyszedłszy do ogrodu spotkałem tu pańską córkę. I ona, również jak pan, żegnała tu wszystko z płaczem... Otóż... zdawało mi się z kilku wyrazów któremi mnie pożegnała, wreszcie z jej oczu, które...

Biedny Jan nie mógł już jakoś trafić do ładu z temi oczami Rózi i... zamilkł znowu zmieszany bardziej jeszcze.

Pan Roch uśmiechnął się dobrotliwie i kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka rzekł:

— No, no, mój chłopcze, widzę że nieprzewiniłeś aż dotąd, tak bardzo! Prawdę mówiąc nie spodziewałem się też po tobie ażebyś był zdolnym obrazić dom zacny, w którym cię przyjmowano ufnie... Co się zaś tyczy oczu Rózi, które wydały ci się tak wymownemi... najlepiej uczynisz jeśli je sobie całkiem wybijesz z pamięci. Widzisz, kochany panie Janie, oczy takiej młodziuchnej jak Rózia panienki, dziecka prawie, na mowie uczuć nie znają się jeszcze wcale i nic z ich wyrazu wnioskować na pewno nie można. Że cię żegnała z żalem... nie dziwię się temu wcale bo jesteś dobry człowiek i przyjazny domowi naszemu sąsiad najbliższy. Toż i ja przecie żałuję szczerze, że rozstaję się z tobą. Lecz nie sądź znów tak pochopnie, aby cię Rózia kochała i powtarzam raz jeszcze: wybij ją sobie z głowy.

Jan, blady ze wzruszenia a do żywego dotknięty żartobliwym, jakby lekceważącym tonem w jakim pan Roch traktował jego uczucia, powstał z ławki i chciał odejść, lecz w tejże chwili, liście szpaleru tuż za ławką zaszeleściały głośno, a z pomiędzy nich, jak motyl, wybiegła Rózia i obejmując za szyję pana Rocha, z gestem rozpieszczonego dziecka, zawołała rzewnie:

— O! nie każ mu, drogi ojczulku, wybijać mnie sobie z głowy ani z serca także, bo ja go... — Tu, przybliżywszy usta do ucha ojca, dokończyła szeptem: — kocham bardzo!

I po tem na wpół sekretnem wyznaniu osunęła główkę na piersi ojca, chcąc tam ukryć zarumienioną cudnie twarzyczkę.

Szept Rózi, jakkolwiek cichy, doszedł jednakże do uszu Jana.

Usłyszawszy dwa tak urocze wyrazy; młody człowiek zadrżał cały i w mgnieniu oka przypadł do kolan pana Rocha a całując jego rękę i paluszki Rózi zabłąkane tam jakoś blizko, zawołał z uniesieniem szczęścia:

— Drogi, czcigodny panie! Widzisz, że przeczucie moje było prawdziwe... O! niech twe serce ojcowskie otworzy się dla nas i weźmie w opiekę uczucia nasze czyste i święte! Nie żądam ażebyś pan teraz już powierzył mi przyszłość i szczęście Rózi... Wiem że to niepodobne... Lecz, pozwól mi drogi panie, mieć nadzieję i przyrzeknij, że pozostawiając Rózi swobodę wyboru i oczekiwania, oddasz mi ją wtedy dopiero, gdy już zdobędę sobie stanowisko takie, które nawet życzeniom jej matki w zupełności odpowie. Dziś opieki tylko przyjaznej i życzliwości ojcowskiej, śmiem prosić dla siebie.

— Dla nas — wyszeptała Rózia, całując ojca tkliwie.

Pan Roch, z początku zdumiony nagłem zjawieniem się Rózi, nie mógł przemówić wcale. Następnie, gdy oboje młodzi: jedno przytulone do piersi jego, drugie u nóg klęcząc, jak dwoje ptasząt wiosennych śpiewało swój duet serdeczny, biedny małżonek pani Agaty przestraszony oglądał się dokoła, czy jakieś ciekawe oko nie dojrzy tego obrazu, któryby pewnie wywołał gwałtowny gniew jejmości.

Dopiero usłyszawszy ostatnie wyrazy Jana i cichą prośbę ukochanej córki, odetchnął swobodniej i rzekł:

— No, moje dzieci, niechże i tak będzie! Zgadzam się na to, ażeby pan Jan zaślubił Rózię wtedy, gdy zdobędzie sobie stanowisko takie, które odpowie wymaganiom jej matki... Dopóki to jednak nie nastąpi, będziecie tak jak dotąd, obcemi dla siebie, w oczach świata przynajmniej...

Co do mnie jestem życzliwym dla waszej wspólnej przyszłości, wierzę, że ty, kochany chłopcze, poruszysz niebo i ziemię, ażeby dopiąć celu. A Bóg ci dał zdolności i siły po temu.

Ty zaś, kochane moje dziecko — dodał gładząc ręką błyszczącą od łez twarzyczkę Rózi — wierz mi, że pragnę tylko twojego szczęścia w życiu, które dla mnie zakończyło się już wraz z opuszczeniem rodzinnego zakąta. Ale się uzbrój w odwagę i w cierpliwość, bo nawet przy mojej opiece i pomocy trudno ci będzie opierać się woli matki, skoro ta, wynalazłszy jakąś według jej zdania odpowiednią partyę, zechce cię wydać zamąż wpierw jeszcze, zanim Jaś wywalczy sobie pozycyę, która by go miłym i dla niej także uczyniła zięciem.

A teraz, puśćcie mnie i powstańcie, bo łatwo zdarzyć się może, iż ktoś nadejdzie i zobaczy to, o czem nie chciałbym ażeby dowiedziano się przedwcześnie.

— Lecz pozwolicie mi widywać Rózię w Warszawie? — zapytał Jan błagalnie.

— O! pozwól! pozwól, drogi ojczulku! Niech pan Jan przyjeżdża tam do nas często...

— Owszem, owszem — rzekł pan Roch, powstawszy wreszcie, uwolniony z niebeziecznej pozycyi. — Lecz właśnie dlatego ażeby on mógł nas odwiedzać w Warszawie, potrzeba ukrywać przed matką cel w jakim bywać tam będzie. W przeciwnym razie, za nic nie ręczę... Wiecie oboje, że Agata jest surową i że ja... dla świętej spokojności, nie myślę otwarcie sprzeciwiać się jej zamiarom, przedwcześnie zwłaszcza.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Swaty na parkanie, farsa w 1-ym akcie, przez Franciszka Mielnickiego.

Pan Stanisław emeryt lecz przytem skryty wielbiciel płci nadobnej, ma siostrzenicę Stasię, która jak to bywa we zwyczaju u podrastających panienek, chciałaby porzuciwszy dziewiczy wianuszek, połączyć się związkiem małżeńskim z ukochanym przez siebie Zygmuntem. Stary zapewne ze względu na wydatki jakieby nastąpiły skutkiem wyprawienia wesela i dania jakiej takiej wyprawki, a może potrochu powodowany egoistyczną obawą utraty skrzętnej zawiadowczyni kawalerskiego gospodarstwa, nie chce słyszyć ani o panu Zygmuncie ani też o żadnym innym konkurencie, odkładając urzeczywistnienie pragnień ślicznego dziewczęcia, do nieokreślonego terminu.

I byłoby zapewne biedactwo skazane na sianie rutki przez całe życie, gdyby los opiekujący się zakochanemi, nie zesłał zbyt mało przedsiębiorczemu adonisowi, pomoc w osobie przyjaciela Józefa. Ten urządza wykradzenie, sprowadza przebranego w kobiece suknie kochanka do ogródka, nieszczęściem jednak na dany znak zamiast panny wychodzi stryjaszek. Na widok wśród cieni nocnych niewieściej postaci, rozbudzają się w sercu podtatusiałego amatora czułych affektów niewczesne zapały. Pan Józef ujrzawszy co się święci, udaje zazdrość zdradzonego męża i z pistoletami w rękach żąda zadosyć uczynienia za doznaną obrazę; emeryt zaś u którego odwaga i hart ducha nie stanowią dodatnich stron charakteru, gotów wszystko uczynić aby tylko uniknąć pojedynku. Finis coronat opus. Młodzi uzyskali pozwolenie pobrania się, a że niezawadzi nigdy przy jednem ogniu upiec dwie pieczenie, sługa więc dusigrosza żeni się z kucharką.

Błahą treść tej drobnostki nagradza wesoły humor, kilka epizodów szczęśliwie z życia schwytanych, a szczególniej staranne unikanie nieprzyzwoitych dwuznaczników. Gdyby jeszcze akcya szła cokolwiek żywiej a rozwiązanie nie przeciągało się niepotrzebnie po za konwencyonalne ramy jakie stanowi małżeństwo w farsie lub komedyi, nie mielibyśmy nic zupełnie wspomnionemu utworowi do zarzucenia.

Pan Sikorski ze swoim stereotypowem przysłowiem: *jak się nazywa*, oddał wybornie typ nakreślony przez autora; panna Irena Trapszanka była miłą, sympatyczną, pełną naturalnego wdzięku Stasią, pan Galasiewicz zaś niewielką swą rolkę umiał na pierwszy plan wprowadzić. Inni robili co mogli, a że niewiele mogli, to już chyba trudno poczytać za winę panu Mielnickiemu.

Ludwik Niemojowski.

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem po południu Lucyan zjawił się w pałacyku przy bulwarze Malesherbes, gdzie teraz codziennym bywał gościem.

Genowefa wprowadziła go do obszernej komnaty, artystycznie przybranej w podzwrotnikowe rośliny i wspaniałe kwiaty. W rogach pokoju stały całe klomby drzew i krzewów. Pyszne wazony z chińskiej lub saskiej porcelany, ustawione na stoliczkach i słupach, dźwigały całe snopy różnobarwnego kwiecia rozlewającego czarowną woń dokoła.

Na ścianach wisiały dwa obrazy pędzla Lucyana i kilka innych znakomitej również wartości płócien. Mnóstwo fraszek, cennych marmurów i bronzów dopełniało umeblowania tego ślicznego pokoju. Przy oknie stały stalugi i cały przybór potrzebny do malowania.

— Przyjmuję pana w pracowni Katarzyny — rzekła młoda dziewczyna. — Babcia śpi w tej chwili a bratowa wyszła. Czy zaczekasz pan na nią?

— Jeżeli nie nazwie mnie pani zbyt natarczywym...

— Bynajmniej.

Mówiąc to Genowefa poprawiała ustawione na stoliczku kwiaty, nadając grupie roślin więcej swobody i wdzięku.

— Pani jak wieszczka, jednem dotknięciem ręki poprawiasz wszystkie niedokładności—zaczął Lucyan. — A nie chcesz się pani przyznać do artyzmu.

— Czy dowodem artyzmu ma być to, że lubię kwiaty?

— Są różne sposoby i stopnie tego upodobania. Czy pani poświęca się muzyce?

— Bardzo niewiele.

— I nie rysuje pani wcale?

— Nie, panie.

— Jestem pewien, że pani tego żałuje.

— Czasami, ale wiem, że źle robię.

— Cóż znowu! — zawołał Borreze — i dlaczego pani tak mniemasz, jeżeli wolno zapytać?

— O! to rzecz bardzo prosta. Gdybym miała jakąkolwiek zdolność, chciałabym się z nią pochwalić przed ludźmi.

— A cóż w tem złego? Wszak zasadą ewangeliczną jest dzielić się wszystkiem z bliźnim; nie-

tylko chlebem ale i wiedzą, która jest chlebem duchowym.

— Zasada ta nie stosuje się do kobiet. Zasługa kobiety polega głównie na spełnianiu cichych cnót domowych i drobnych obowiązków. Prawda, że one niekiedy trudniejsze są do wykonania niż wielkie i głośne poświęcenia, które znajdują nagrodę we własnym blasku i rozgłosie, gdy tymczasem pierwsze...

— Nie znajdują nagrody wcale — dokończył za nią Lucyan.

— Czy takiem w istocie jest zdanie pańskie?

— Nie, pani, bynajmniej i mogę też tylko powinszować pani jej zasad.

— Masz pan słuszność; zasady te to spuścizna po mojej matce, a wszystko co pochodzi od niej musi być doskonałością.

— Ale zdaje mi się... że pani straciłaś matkę będąc jeszcze małem dziecięciem?

Błękitne oczy Genowefy napełniły się łzami.

— Ona wychowała Maksyma — rzekła drżącym od wzruszenia głosem, a Maksym mnie wychował.

Imię pana Levallier podziałało jak strumień zimnej wody na wzruszenie Lucyana. Niepomny do kogo mówi zaczął niemal ostro:

— Niech mi pani wytłomaczy jak to się stało, że brat pani ożenił się z kobietą, której pojęcia i rodzaj życia różnią się tak dalece od twoich pojęć i wyobrażeń?

— Dlatego, że Kasia jest wyjątkiem — odparła Genowefa.

— Gotów byłbym uwierzyć w to, lecz słuchając pani, sądzę że tu wyjątki zamieniają się w regułę.

— Mylisz się pan. Bóg udziela swoich darów tylko szczególniej uprzywilejowanym istotom, ja zaś nie należę do ich liczby.

— To zbytek skromności z pani strony.

— Czy mam to uważać za komplement?

— Nie, raczej za surową krytykę. Zbytnia skromność staje się wadą. Nienależy posuwać jej do ostateczności tak samo jak nienależy potęgować pojęć nieboszczki matki pani. Jeśli się ich pani ściśle trzymać będziesz, to człowiek którego kiedyś wybierzesz za towarzysza skazany będzie z góry na to, że panią znać dobrze nie będzie. Przypuśćmy, że ów ktoś, oceniając w kobiecie przymioty dobrej gospodyni które, mówiąc nawiasem, trudno ocenić przed ślubem, pragnie jeszcze oprócz tego, aby jego wybrana posiadała talenta i powaby pogardzane przez panią, to czyż nie grozi mu niebezpieczeństwo pominięcia szczęścia, jeśli pani zdania swego nie zmieni?

Po ustach Genowefy dziwny przemknął uśmiech. Lica jej purpurowym oblokły się rumieńcem, lecz spokojnym niemal surowym głosem odrzekła:

— Tem gorzej dla niego, mój panie. Zresztą gdyby miłość żądała bezwarunkowo wzajemności, życie byłoby jeszcze stokroć cięższem.

Malarz wstrząsnął głową, zdziwiony słowami Genowefy, nie wiedział czy młoda dziewczyna miała na myśli jego cierpienia czy też mówiła o sobie.

— Jesteś pani za młodą na takie smutne doświadczenia — rzekł patrząc jej badawczo w oczy.

A gdy zmieszana odwróciła głowę, dodał:

— Czyżbyś pani znała już co to jest cierpienie?

Niestety! biedne dziewczę, od chwili gdy pokochało nie miało już spokoju; życie jej stało się odtąd nieprzerwanem pasmem cierpień.

Sympatya jaką nieszczęśliwy uczuwa zawsze na widok drugiego również nieszczęśliwego człowieka, pociągała mimowoli Lucyana do Genowefy.

Młody człowiek bezwiednie przysunął się bliżej.

— Przebacz mi, pani! — szepnął. — Nie chciałem bynajmniej zrobić ci przykrości. Proszę, uważaj mnie za przyjaciela. Czy zgodzisz się pani na to?

— I owszem — odparła również cichym szeptem.

Słodki głos Lucyana błagający o przyjaźń, rozrzewnił ją do głębi serca a cała moc jej duszy rozpłynęła się we łzach.

Lucyan ujął obie jej rączki pytając ze szczerem współczuciem:

— Płaczesz pani? powiedz mi co jest powodem twego cierpienia?

Za dotknięciem jego ręki, Genowefa zbladła jak marmur, nawet usta jej pobladły a nerwowe drżenie wstrząsało całem jej ciałem.

Wśród ciszy niemal słychać było gwałtowne uderzenia jej serca.

Artysta zdumiony spoglądał na piękne dziewczę, któremu wzruszenie nowego dodało powabu. Powód tego wzruszenia nie_uszedł jego baczności.

Nagle Genowefa uwolniła ręce z jego dłoni i obtarłszy oczy szepnęła pośpiesznie:

— Zaklinam pana, zapomnij o tej chwili mojego szaleństwa.

Poczem oddaliła się szybko i znikła za drzwiami zanim Lucyan zdołał wymówić słowo.

Tak, nie ulegało żadnej wątpliwości, Genowefa kochała się w nim, spojrzenie jej powiedziało mu to aż nazbyt jasno. Kochała go beznadziejną, rozpaczną miłością, tak jak on kochał Katarzynę.

Dziwna zaiste igraszka losu, oboje wolni, młodzi i piękni a jednak skazani na tak okrutne męczarnie.

— Nieszczęśliwa!—myślał Lucyan z goryczą — więc jej serce trawi ta sama boleść i ona doznała już tak strasznego zawodu.

Genowefa miała słuszność twierdząc, że miłość nie koniecznie żąda wzajemności, ona przecież odrazu wyrzekła się nadziei. Przeczuciem odgadła i zrozumiała namiętność malarza i litowała się nad nim, nie myśląc wcale o sobie. Lucyan wiedział, że w każdej chwili gotowa była wyciągnąć przyjazną dłoń ku niemu i dodać odwagi do godnego znoszenia cierpień.

W tej chwili Lucyan uczuł głęboki szacunek dla tej młodej dziewczyny, która z takim stoicyzmem potrafiła znosić boleść i postanowił naśladować jej poświęcenie.

— Obowiązkiem moim jest uciekać ztąd jak najprędzej — rzekł sobie w duszy — może rozłączenie wyleczy biedną Genowefę z nieszczęśliwej miłości...

Rozmyślania jego przerwało wejście Katarzyny.

Dowiedzioną jest rzeczą, że dusza ludzka nawet w chwilach najszlachetniejszych uniesień, pozostaje zawsze niedoskonałą i skłonniejszą do złego niż do dobrego. To też i Lucyan spojrzawszy na twarz ukochaną, pomyślał, że oddalając się od Genowefy musiałby tem samem wyrzec się widoku Katarzyny, i samolubne uczucie wzięło górę nad wszystkiemi innemi względami.

— Jeśli ja cierpię, to cóż mnie mogą obchodzić cierpienia innych — powiedział sobie w duszy. — Choćbym nawet zdobył się na tyle odwagi i odjechał ztąd, ręczę że siłby mi zbrakło, nie potrafię żyć bez Katarzyny.

Tymczasem Katarzyna niedomyślając się głuchej walki jaka wrzała w sercu malarza, zaczęła mu wesoło opowiadać o swoich zamiarach na przyszłość.

Zajęta jedynie sztuką, zapomniała do kogo mówi, zapomniała o mężu który tak dobrym się dla niej okazał i cała utonęła w idealnym świecie marzeń i twórczych pomysłów.

Lucyan patrzał na nią zdumiony, widział w niej zmianę ale nie mógł się domyśléć co było jej powodem.

Nagle oczy jego zapłonęły gorętszym blaskiem a krew żywiej zaczęła mu krążyć w żyłach, kto wie czy nie odgadł co się działo w duszy Katarzyny.

IV.

Bezwątpienia sumienie jest probierczym kamieniem naszych uczuć i czynów, lecz czy można twierdzić, że ono się nigdy nie myli?

Nieraz człowiek wstępuje na drogę, którą uważa za dobrą i prawą a później lgnie w błocie i błąka się po krętych manowcach. Zależy to od jego przenikliwości i dobrej wiary. W istocie prawdziwa moralność zna jedną tylko drogę, dla niej nie ma wyboru, lecz trzeba wziąć na uwagę słabość natury ludzkiej i okoliczności łagodzące jego winy.

Katarzyna nie należała bynajmniej do istot słabych. Okoliczności niezależne od niej wytworzyły jej sercowy dramat, wśród płomieni którego postępowała z podniesioną głową.

Zdawało jej się, że poczucie własnej godności i poszanowanie honoru, będzie dla niej dostateczną tarczą przeciwko wszelkim pokusom namiętności i zakazanych uczuć.

Wiele dni i nocy spędziła bezsennie, zanim doszła do tego uspokajającego sofizmatu.

— Całą moją pociechą będzie odtąd sztuka — mawiała sobie w duchu, niebacząc na to, że ta sztuka przybierała często rysy i postać Lucyana, nie tracąc jednak nic ze swej nadziemskiej cechy.

Wytworzywszy sobie taki sztuczny spokój, Katarzyna odetchnęła swobodniej. Mąż był dla niej tak dobry, Genowefa tak uprzejmą, że gdyby nie projekt pani Maleyra ożenienia malarza z panną Levallier, Kasia czułaby się zupełnie szczęśliwą.

Zapomniała o grożącem jej niebezpieczeństwie i w całej pełni używała obecnego szczęścia. Zaniechała spacerów i odwiedzin, dnie całe natomiast spędzała w pracowni. Chcąc przekonać Lucyana, że nie domyśla się jego uczuć, prosiła go aby bywał codziennie.

Pod jego kierunkiem zaczęła malować portret Genowefy. Miała to być niespodzianka dla Maksyma, lecz wnosząc z powolnych postępów pracy, można było mniemać, że Maksym długo na nią czekać będzie.

Genowefa smutna i tęskna jak zwykle, pozowała do obrazu cierpliwie. Lecz wymowne spojrzenia malarza i młodej kobiety, szybkie, ukradkowe uściśnienia dłoni poszukujących się wzajemnie, pochylenie głowy tak blizkie, że tchnienie ust mieszało się razem, sprawiały Genowefie niesłychaną boleść. Były to dla niej prawdziwe chwile czyszczowej męki.

Często niezdolna już dłużej zapanować nad sobą, odzywała się nagle:

— Nie mogę dłużej siedzieć tak nieruchomie, czuję się bardzo znużoną.

— Odłóżmy zatem posiedzenie na jutro, kochanko — odpowiadała wtedy zwykle Katarzyna.

— A zatem mogę odejść?

— Jak ci się podoba, albo lepiej idź spocząć.

I Genowefa odchodziła.

Wtedy Lucyan chwytał ręce Kasi i ściskał je w swoich rozpalonych dłoniach. Wzrokiem tonął w jej oczach i milczał nieśmiejąc słówka przemówić. Milczenie to było jednak od słów wymowniejsze.

Katarzyna pierwsza wyrywała się zazwyczaj z tego szału upojenia.

— Wszak prawda Lucyanie, że robię postępy? — pytała.

— Zadziwiające — odpowiadał z uniesieniem.

W istocie mógł być dumnym z takiej uczenicy; opanowała ją gorączka pracy; rysowała, szkicowała i malowała z zapałem, czyniąc z dniem każdym szalone postępy.

Dla Lucyana były to najrozkoszniejsze w życiu chwile, jedynie widok bolesnym smutkiem napiętnowanej twarzy Genowefy psuł mu niebiańską harmonią, której oboje z Kasią przysłuchiwali się z upodobaniem.

Genowefa jednak nie zawadzała im długo. Nieraz zapominali o niej choć była obecną a skoro odeszła nie wiedzieli nawet, że żyła na świecie.

Dla Lucyana Katarzyna była jakby zmartwychwstałą. Jak Łazarz który z grobu powstał na słowo Chrystusa, tak ona pod wpływem malarza zbudziła się ze swej chłodnej obojętności w całym blasku talentu i gorącego uczucia.

— Nie myślmy o przeszłości Katarzyno — mówił Lucyan — czyż teraźniejszość nie powinna nas zadowolnić w zupełności? W obec ciebie czuję, że nowych sił nabieram, że talent mój potęguje się coraz bardziej. Spoglądam na świat przez pryzmat innych kolorów, zdaje mi się, że jestem innym człowiekiem, któremu tylko serce pozostało to samo.

— Ja zaś lubię myśléć o przeszłości Lucyanie, prawdziwą moją młodością były dla mnie dziecinne moje lata. Wszak spędziłam je z tobą razem a jeśli dusza moja ukochała piękno i sztukę, tobie to wszystko zawdzięczam. Wspomnienia, to niebiańska rozkosz, a my teraz żyjemy wspomnieniami.

Rozmowa przeciągała się zazwyczaj długo i zapadający zmrok zastawał ich jeszcze razem. Ogień palący się na kominku oblewał ich czerwonawem światłem a oni ścigając wzrokiem niepewne odbłyski światła zwolna pogrążali się w zadumie.

W marzeniach przedstawiał im się raj utracony a niemożebny już do odzyskania.

— No, już późno, bądź zdrów Lucyanie — odzywała się wtedy Katarzyna pragnąc przerwać niebezpieczne sam na sam.

— Bądź zdrowa Katarzyno.

I Lucyan oddalał się pozostawiając w samotnej pracowni Katarzynę zamyśloną przy świetle kominkowego ognia.

Czy w postępowaniu tem było co zdrożnego lub nagannego? badała samą siebie Katarzyna. Nie, bynajmniej, wszak przywiązanie brata względem siostry to rzecz zwyczajna i całkiem naturalna. Nawet świat tak podejrzliwy nie dostrzegłby nic złego w ich przyjaźni.

Katarzyna ceniła jeszcze wyżej Lucyana za jego szlachetne postępowanie; była mu wdzięczną, że nie przekroczył nigdy zakreślonych przez nią granic przyjacielskiej poufałości. Serce jej wzbierało dumą na myśl, że poczucie obowiązku powstrzymywało palące wyznanie miłości gwałtem cisnące się im obojgu na usta.

Był to obowiązek ciężki i trudny do spełnienia, wymagający ciągłej uwagi i baczności nad sobą, ale młoda kobieta tem więcej dumną być mogła ze zwycięztwa.

Często wśród najbardziej ożywionej rozmowy milkli nagle oboje a milczenie mieszało ich jeszcze bardziej. Zdawało im się, że jakieś magnetyczne prądy unosiły się w powietrzu, które choć byli oddaleni, łączyły ich niewidzialnym, duchowym uściskiem.

Lecz Kasia umiała jednem słowem rozerwać czar niebezpieczny i rozmowa przybierała znowu swój zwykły, swobodny charakter.

Młodą kobietę wzruszała do najwyższego stopnia uległość Lucyana. On, wielki i sławny artysta, wobec niej tracił swą wolę i był jej posłusznym jak dziecię.

Nigdy żadne śmiałe słowo, żaden ruch nie zdradził miotających nim uczuć, żył jak we śnie i lękał się przebudzenia.

— Jakże wzniosłą jest miłość szlachetnego człowieka — mówiła sobie w duszy Katarzyna, i jak różną od tych tuzinkowych, pospolitych uczuć, którym nadają szumną nazwę miłości. Na honorze Lucyana śmiało mogę polegać, nie zawiedzie on mego zaufania.

Katarzynie Lucyan wydawał się teraz trochę zmienionym; nie zapalał, nie unosił się tak łatwo jak dawniej, lecz wyrobił się w nim za to męzki hart duszy i gotowość do poświęceń pełna dobroci i wyrozumiałości.

Trzeba przyznać, że pod tym względem pan Levallier nie ustępował Lucyanowi.

Katarzyna nie przeczyła temu, jednak nie poczytywała to mężowi za wielką zasługę; Maksym był dobrym z natury, innym już być nie potrafił; zresztą nie potrzebował staczać walk wewnętrznych, które wymagają największej siły charakteru.

Co innego Lucyan, ten musiał bezustanku panować nad sobą i składać swoje uczucia w ofierze surowym obowiązkom.

Katarzyna nie była tak zaślepioną, aby nie rozumiała usiłowań, walk i zwycięztw tak drogo okupionych.

Maksymowi nie groziło przecie nic podobnego; aby tylko jego interesa szły dobrze i fabryka ciągle się rozwijała, nie żądał niczego więcej.

Pracował gorliwie aby zapewnić sobie spokojną starość; nie szło mu z pewnością tyle o siebie ile o żonę i ta ostatnia bezwątpienia wdzięczną mu za to była, lecz wolałaby teraz używać całej pełni rozkoszy i życia niż myśléć o starości, której nie wiedziała czy doczeka.

— Jam dla niego tylko kosztownym sprzętem, cackiem zbytkownem o które lęka się, aby się nie rozbiło — mówiła sobie Katarzyna z goryczą nieczując jak jest niesprawiedliwą dla męża.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Mozart ten mistrz w świecie muzyki, uwielbiany przez wszystkich i podziwiany dotąd z płodności swoich utworów, był cudownem dzieckiem.

Wprawdzie pan Prus w kronice tygodniowej w Kuryerze Codziennym, odmówił mu ledwo że nie talentu i tak mu przycjał ostrym dowcipem swego pióra, że teraz już nikt nie wątpi, iż pisać o przedmiocie zupełnie sobie obcym, co najmniej jest rzeczą bardzo zdrożną. Mozart więc pomimo siekaniny pana Prusa, pozostanie tem czem był.

Słusznie się też niegdyś Wiedeńczycy chlubili tak cudownem dzieckiem, ale zdaje się że i między nami na warszawskim bruku wyrosła latorośl obiecująca piękne kiedyś z siebie owoce. Jest nią młody niezmiernie chłopczyna, Józio Hofmanik, który lat dwa temu, mając lat ośm życia, dawał koncert z własnych złożony kompozycyi z ogólnem uznaniem znawców muzycznych. Obecnie już rok drugi jak pod opieką ojca urządza koncerty w pierwszych stolicach świata z wielkiem powodzeniem. Oto co o nim donoszą gazety:

Józio Hofmann coraz więcej zdobywa rozgłosu, uznania i pieniędzy zagranicą; obecnie dziesięcioletni pianista koncertuje w Londynie; korespondent paryzkiego dziennika Temps, nie waha się porównywać małego wirtuoza z Mozartem w tym wieku. Hofmanik urodził się 20 Czerwca 1877 roku w Krakowie. Rubinstein słyszał go grającego przed trzema laty i przepowiedział mu świetną przyszłość. Impresario Wolff, na podstawie opinii znawców, podjął się wprowadzić malutkiego artystę w świat muzykalny i obwoził go zagranicą. W Londynie Józio ma powodzenie nadzwyczajne. Zachwycają się nim nad Tamizą, jak wszędzie. Dzienniki tamtejsze chwalą kierunek pedagogiczny małego wirtuoza, a zwłaszcza podnoszą przezorność ojca, który go nad wiek nauką nie przeciąża. Jak wiadomo, Hofmanik koncertuje obecnie, by rączkami „cudownego dziecka” zebrać fundusz dla wykształcenia dojrzałego artysty. W dniu 15 b. m. wyjechał z ojcem do Ameryki, gdzie zaangażowany został na szereg koncertów za sumę 125,000 franków. Korespondent londyński utrzymuje, że Józio pobiera od ojca już honoraryum za każdy publiczny występ; wynosi ono całe dwa... sous.

Na jubileusz papiezki, płyną wciąż dary ze wszystkich stron świata, tak dalece, że codziennie prawie po 70 pak przybywa z niemi do Watykanu.

Sułtan przysłał pierścień z soliterem, szacowanym na 70,000 piastrów; królowa-rejentka hiszpańska Krystyna, inny pierścień z ogromnym szafirem, osadzonym w brylantowej gwieździe; cesarz Franciszek-Józef pierścień i krzyż wartości około 100,000 złr.; cesarz Wilhelm złotą infułę niezmiernej wartości, wyszywaną drogiemi kamieniami: jaśnieją na niej 122 jaknajwiększe perły urjańskie, mnóstwo brylantów, szafirów, rubinów i szmaragdów, oraz największa znana *acqua marina*. Kró-

lowa Wiktorya, ofiarowała wydanie *princeps Vulgaty* w drogocennej oprawie, a król belgijski wizerunki Leopolda I i królowej Maryi Ludwiki w ramach bogato wysadzanych. Nadto królewska rodzina belgijska składa jego Świątobliwości przecudne koronki; hrabina Flandryi monstrancyę, będącą arcydziełem jubilerskiem; księżniczki, jej córki, Henryeta i Józefa, aparaty kościelne wielkiej wartości; nieszczęśliwa cesarzowa meksykańska przenośną kaplicę dla misyonarzy; pan Juljusz Grévy, prezydent rzeczypospolitej francuzkiej, z republikańską oszczędnością, w imieniu rządu francuzkiego i własnem, przysłał Ojcu św. sewrską wazę, która nie może stanąć na równi z takiemiż wazami, darowanemi Piusowi IX-mu przez Napoleona III, a zdobiącemi bibliotekę watykańską. Zresztą pan Grévy zaćmiony także został podarunkiem marszałka Mac-Mahona i księżny Magenty, jego małżonki, którzy przysłali dwie piękniejsze jeszcze sewrskie wazy.

Szlachta rzymska ofiaruje Ojcu św. zdrobniały łuk tryumfalny z bronzu; naśladujący ten, jaki senat i lud rzymski wzniosły w 326 roku cesarzowi Konstantemu po jego zwycięztwie nad Meksencyuszem, który chciał zagarnąć Rzym.

Duchowieństwo rzymskie składa Papieżowi szczerozłote klucze niebieskie, z potrójną u góry koroną, a proboszcz rzymski drogocenną stułę.

Oficerowie byłego wojska papiezkiego podają wielki kałamarz ze srebra i złota w stylu odrodzenia. Posążek św. Michała Archanioła roztacza nad nim skrzydła, a na czterech jego rogach widać misterne medaliony, wyobrażające św. Joachima, Leona, Franciszka i Tomasza.

Uczniowie seminaryum rzymskiego przynoszą posąg św. Tomasza z Akwinu, dłuta snycerza Cezara Aurelego, twórcy znanej we Włoszech grupy „Galileusza i Miltona".

Mieszkańcy Kolumbii przysyłają zupełny zbiór broni, ozdób, szat, naczyń i narzędzi, używanych w Ameryce przed jej odkryciem. Mówią, że Papież daruje go etnograficznemu muzeum propagandy.

W tych dniach przybyło pięć wielkich wagonów, napełnionych darami z dyecezyi niemieckich, jedenaście ogromnych pak darów z Linzu w Styryi, oraz przestronny wagon z dyecezyi orleańskiej we Francyi, naładowany ofiarami. Przywiózł on przepyszną podobiznę sztandaru Joanny d'Arc.

Zaduszki w Paryżu. Wielkie domy w Paryżu zaprowadzają dziwny sposób obchodzenia dnia Zadusznego. Niejaka baronowa d'Argusson wdowa od 25 lat, rozesłała w zeszłym tygodniu listy zapraszające do kilkuset swoich znajomych, następującej treści: „W dniu zadusznym przyjmować będę wizyty kondolencyjne od godziny 11 rano do 6 wieczorem na grobie mego męża. Z powodu zimna, zarządziłam, aby osobom, które raczą mnie odwiedzić, podawano nieustannie gorącą herbatę i różne napoje." Władza duchowna, dowiedziawszy się o tym zamiarze, zaprotestowała przeciw urządzaniu podobnych przyjęć na cmentarzu, wtedy baronowa zwróciła się do komisyi cmentarnej, która zawyrokowała, że ponieważ kupiony grób jest własnością ziemską, tak dobrą, jak każda inna, można więc jej używać do celów, jakie prawy posiadacz takowej uzna za właściwe.

Gorsetowi damskiemu w jego dzisiejszej postaci wypowiedziana została w Paryżu stanowczo walka. Fabrykowane obecnie gorsety są miękkie i nie pozwalają na zbytnie, a tak szkodliwe zdrowiu ściskanie się. D-r Decaisne umieszcza w Figarze artykuł przeciw sztucznym pięknym figurkom, w którym między innemi pisze: „Widziałem w Rzymie Wenus kapitolińską, we Florencyi Wenus medycejską, a w Paryżu podziwiałem, podobnie jak świat cały Wenus z Milo, ten klejnot naszego muzeum starożytności. Zdumiewającem jest że żaden z tych mistrzowskich posągów, przedstawiających wieczny ideał piękności kobiecej, żadna z tych bozkich marmurowych postaci nie ma wcięcia w pasie!"

Liczba doktorek, praktykujących w Nowym-Yorku, wynosi obecnie 150, w Brooklynie zaś i w innych miastach Stanów-Zjednoczonych praktykuje ich więcej, niż podwójna liczba. Niektóre z tych doktorek w Nowym-Yorku mają po 2,000 fst. dochodu, a dwie adeptki Eskulapa zarabiają nawet po 5,000 fst. rocznie. Szczegóły te podaje angielskie pismo illustrowane, Ladys Pictorial

Szczyt kobiecej emancypacyi. Kobiety w Kanzas, głośne ze swej emancypacyi i posiadające nawet prawo głosowania przy wyborach, wynalazły nareszcie coś, co ma być szczytem ich wrzekomej swobody. Oto w ostatnich czasach postanowiły nie przybierać po ślubie nazwiska mężów, lecz zatrzymywać dawne, panieńskie.

Wróżki brukselskie. Nigdzie może na świecie nie ma tylu zabobonnych, co w Belgii. Znachorzy wszelakiego rodzaju i wróżki znajdują tam tak w miastach, jak i po wsiach rozległe pole działania i wszędzie mile są widziani. Nie ma też jednego miesiąca, w którymby sądy nie zajmowały się tymi oszustami. Niewiele to jednak pomaga, gdyż lud, a nawet i tak zwane sfery inteligencyi wierzą im i napełniają ich kieszenie. Bardzo też częste są wypadki, iż oszuści dochodzą do wcale pokaźnych majątków, obliczanych na 60,000 a nawet 80,000 franków, ale za to dzięki ich machinacyom szczęście niejednej rodziny zostało już zachwianem, a nawet zrujnowanem! Jak zaś sprytne są wróżki belgijskie, dowodzą operacye uwięzionej przed kilkunastu dniami „jasnowłosej Pauliny". Klientela jej składa się przeważnie z dam sfer wyższych, a każda wizyta kosztowała u niej 20 franków. Znała ona wszelkie tajemnice wszystkich wyższych domów, cieszyła się więc opinią dobrej wróżki. O tajemnicach tych dowiadywała się zaś od pokojówek, które otrzymywały od niej odpowiednią prowizyę, a w zamian za to roznosiły wszędzie jej sławę i namawiały swe panie, by się do niej udawały. Że „jasnowłosa Paulina" służyła nieraz jako pośredniczka w różnych sprawach miłosnych i że często zajmowała się zręcznemi intrygami, byle tylko od ofiar swoich wyłudzić jak najwięcej pieniędzy, o tem zdaje się, mówić zbytecznа, dość że donoszą z Belgii, iż proces wytoczony Paulinie wykryje wiele skandalów. „Jasnowłosa Paulina" dostała się w ręce policyi wskutek denuncyacyi ze strony pewnego akademika i kupca, którzy złożywszy żądaną kwotę, zapytali wróżki, gdzie znajduje się skarb ukryty przez Napoleona I przed bitwą pod Waterloo. Pokojówki nie pouczyły o tem Pauliny, nie umiała zatem odpowiedzieć na to zapytanie, za co ciekawi zemścili się na oszustce przez oddanie jej w ręce policyi.

W jednym z zakładów piwodajnych na Podwalu, do siedzącego przy kufelku włościanina z Piaseczna, Jana Gwizdalskiego, podszedł nieznajomy mężczyzna, ofiarując swe usługi, jako „adwokat".

Włościanin, który istotnie miał jakąś sprawę, zgodził się pozornie na propozycyę i w celu, jak mówił, porozumienia się, zaprowadził doradzcę niby to do zajazdu, a w rzeczywistości do mieszkania adwokata, pana L.

Zbytnio wierzący łatwowierności kmiotka, pokątny doradzca znalazł się w samotrzasku, pan L. bowiem postanowił wystąpić z oskarżeniem przeciwko wyzyskiwaczowi.

Ten ostatni, jak się okazało, już raz był sądzony za obałamucanie i wyzyskiwanie włościan, prowadzących w Warszawie sprawy sądowe.

Dziennik Łódzki w kronice tygodniowej pisze: „Góra św. Małgorzaty, w powiecie Łęczyckim, wydała chłopka-poetę, który posiada niepospolity dar rymowania; podobno napisał coś dla Warszawy z okazyi wystawy hygienicznej. Chłopek samouk, umie czytać i pisać. Dwaj właściciele sąsiednich dóbr, dowiedziawszy się o poecie w siermiędze, przyjechali do niego w odwiedziny i zastali go przy młóceniu zboża w stodole. Zagadnięty, odpowiedział gładko rymowanym wierszem; obywatele kupili poecie małą młockarnię, aby mu lżej szła robota przy rymowaniu. W tejże samej wsi przed dwoma tygodniami wydał włościanin córkę za mąż dając jej na wiano 500 rubli srebrnych i tyleż papierowych, oprócz zwykłej wyprawy. Zamożny ów gospodarz ma cztery córki, a każda z nich dostanie taki sam posag. Szczęśliwa to wieś, kwitnie w niej poezya, zamożność, zgoda i porządek, to bardzo wiele na dzisiejsze czasy. Ciekawą jest rzeczą, czy mieszkańcy tej wioski kształcili się na sztukach ludowych i w jaki sposób odbywa się tam praca u podstaw. Może kiedy wyjdzie ztamtąd pisarz ludowy, który o wszystkiem opowie."

Cesarz literat. Wydawca jednego z francuzkich pism naukowych zaproponował cesarzowi brazylijskiemu współpracownictwo w swoim organie, prosząc, aby szczególniej nadsyłał sprawozdania o ważnych odkryciach i wypadkach naukowych w Brazylii. Don Pedro przystał na propozycyę niezwłocznie, przyrzekł iż będzie bardzo pilnym i nakoniec zapytał wydawcy, czy przy ważnych bardzo wypadkach nie ma żałować kosztów i depeszować. Wydawca oświadczył gotowość poniesienia pewnych ofiar w tym kierunku, poczem don Pedro zapytał go o wysokość honoraryum, a gdy otrzymał odpowiedź, rzekł z uśmiechem: „Pisałbym chętnie dla pana bezpłatnie, ale pieniądze, które zarabiam pisaniem, nie należą do mnie, przeznaczyłem je od początku mojej karyery literackiej na dom dla sierot w stolicy mego państwa."

Róże elektryczne. Królowa kwiatów doczekała się powtórnej detronizacyi.

Najpierw delikatne rączki kobiet poczęły naśladować jej kształt i barwy, płótnem i farbą imitując cudne jej formy.

Teraz elektryczność znów chce zastąpić różę w... butonierkach męzkich.

Na bruku paryzkim ukazały się miniaturowe aparaciki, które wpina się w klapkę żakiety i które za przyciśnięciem sprężynki wydają światło. Światło oświetla rozkwitającą różę i elegancki młodzieniec ma wszelkie złudzenie, iż królowa kwiatów uśmiecha się doń z... klapy tużurka.

Każde złudzenie szybko niknie, więc i blaski elektrycznej róży są bardzo krótkotrwałe, chociaż cena tego figla jest dość znaczną. Jeden z naszych przemysłowców zamierza wprowadzić u nas fabrykacyę tego aparaciku. Niech się spieszy, bo gdy słońce obudzi z uśpienia różę prawdziwą, sztuczna poniesie porażkę.

Królowa kwiatów nie pozwoli się zdetronizować.

Pani X. porodziła trojaczki, dwóch synków i dziewuszkę. Gdy w pewnem towarzystwie dowiedziano się o tem, jedna z pań rzekła:

— Ciekawa jestem bardzo jakie im ojciec nada imiona?

— Zapewne przestraszony, nazwie je: Jezus, Marya, Józefie święty! — odrzekł jeden z panów.

* * *

Nic kłamliwszego jak twierdzenie, że cnota jest rzadką, bo gdyby tak było, toby ją drożej ceniono.

* * *

Znalazł się dobrze. Pewien dragon przybywszy na kwaterę do chłopa, zachowywał się bardzo niegrzecznie, a chcąc prostaczka nastraszyć, wyciągnął szablę z pochwy i położył ją na stole. Chłop spostrzegłszy to, poszedł spokojnie do chlewa, przyniósł widły od mierzwy i położył je obok szabli na stole.

— Co to ma znaczyć? — zawołał rozgniewany żołnierz.

— Prosta rzecz, panie wojaku! — odpowiedział chłop — do tak wielkiego noża potrzebny przecież stosowny widelec.

To pomogło i dragon zgrzeczniał a nawet stał się delikatnym.

* * *

W pewnej gazecie niemieckiej pomieszczono następujące oryginalne ostrzeżenie:

„Młody człowiek, zamożny i przyjemnej powierzchowności, który ma chęć się żenić, poszukuje starszego, doświadczonego mężczyzny, któryby mu to wyperswadował."

* * *

Dubeltówka.

Do jednego z rusznikarzy warszawskich pewien obywatel wiejski nadesłał do naprawy dubeltówkę z 1815 roku.

Znajduje się na niej napis następującej treści:

„*Se bon — se git, Paris — London — Josek z Opatówkie robiuł tego dupeltuwke.*"

* * *

Do pewnego nauczyciela w Wiedniu, przybył jakiś podejrzanej powierzchowności człowiek, domagając się gwałtownie zwrotu parasola, który przed rokiem pozostawił w jego mieszkaniu. Po bliższem wyjaśnieniu okazało się, iż występujący z pretensyą, włamał się do mieszkania profesora i wówczas zostawił swój parasol, został bowiem schwytany i osadzony w więzieniu. Odsiedziawszy ośm miesięcy przyszedł po swoją własność, a gdy profesor dobrowolnie zwrócić jej nie chciał, poszedł po policyanta i przy jego pomocy odebrał zapomniany przypadkiem deszczochron.

* * *

Biedne świekry! Bankier wiedeński M., stracił przed kilku dniami świekrę, która mu przez lat 30 zatruwała życie, ale po śmierci zostawiła mu spadek w sumie kilkuset tysięcy złr. Z nader uroczystą miną żałobną pan bankier idąc ulicą, spotkał znajomego literata i zaczepił go, prosząc, aby zechciał ułożyć napis grobowy dla zgasłej, choćby jak najkrótszy.

— Z chęcią — odparł zagadnięty. — Masz pan zupełną słuszność, krótkie napisy na nagrobkach są najwymowniejsze. Każ przeto na pomniku wyryć tylko jedno słowo: *Nareszcie*!

* * *

Miłość bez przeszkód podobną jest do krajobrazu bez gór. Oboje z czasem... nudzą niemiłosiernie.

ROŻNE MYŚLI.

To, co czyni bohater, kaziłoby zwykłego człowieka.

Voltaire.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorowi wierszy p. t. Tak się dzieje i Wiek XIX. Forma w nich dobra, ale oprócz niej konieczną jest treść przydatną do poetycznego określenia. W nadesłanych wierszykach treść stanowi panegiryk dla pieniędzy, w którym myśli występują w haosie i sprzecznościach samych. Co to jest: *urok na drużynie świata?* A strofka cała następująca:

Gdy mu w dostatkach urodzenie dano,
To mu i cnotę przyzna świat w ofierze,
On swoje kroki zawsze wiedzie śmiało,
Jego nie trwożą przeciwności w sferze.

Wszystkie inne są do niej podobne, dlatego z pracy Autora korzystać nie możemy, a radzimy szczerze studya nad naszą literaturą, które najlepiej nauczą jak pisać, żeby praca nie była marną.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 47 wyszedł z druku i zawiera:

Kilka słów o Czechach (z drzew.)—Na cmentarzu (wiersz). — Figiel Franusia (obrazek dramatyczny). — Foka (z drzew.) — Myśli. — Osiek (drzew.) Rys historyczny działalności Piotra Wielkiego. — Mała książeczka. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie. — Zwierzęta malowane (wiersz) Małpeczka Kapucynka (z drzew.) — Pająączek (wiersz). — Pobyt Olesia na wsi. — Odpowiedzi. Zadania i łamigłówki.

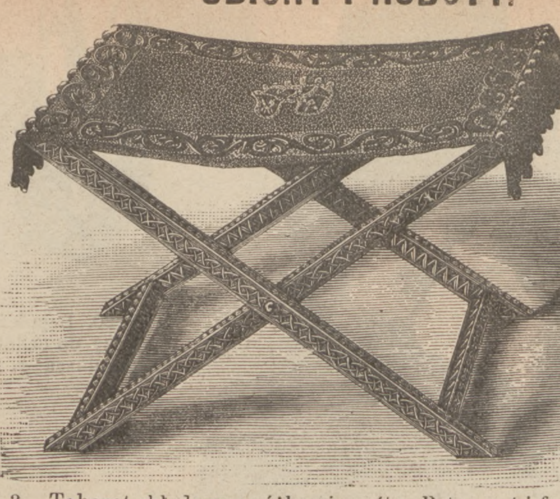
☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Ноября 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy.)

Dodatek.



N. 1. Kapelusz okrągły z prostem rondem. Patrz ryc. 2 w N-rze 46.



N. 3. Taboret składany z nóżkami rzeźb. Patrz r. 4 i f. 65—68.



N. 2. Kapelusz aksamitny. Patrz przód ryc. 46.

Opis do N-ru 47.

(*Dokończenie*).

N. 25—26. Kołnierz i mufka. Krój na arkuszu N. XXII, fig. 115.

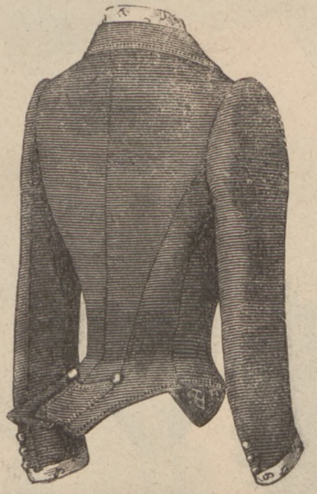
Uszyte są z czarnych astrachańskich baranków, na czarnej atłasowej podszewce; kokarda z wstążki repsowej, 7 cent. szerokiej.

N. 28—29. Kapotka z wygiętem rondem.

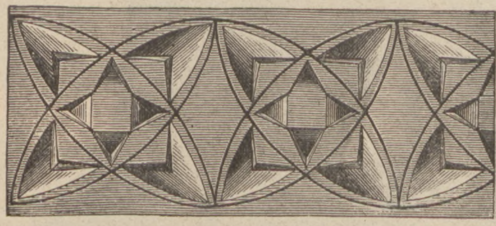
Główka 9 cent. wysoka pokryta gładko aksamitem czerwonawo lila, rondko z tyłu 3 cent. szerokie ku przodowi rozszerzające się do 8 cent., pokryte zielonym aksamitem. Kokardy i końce do wiązania z 6 $^1/_2$ cent. szerokiej wstążki moiré-antiqe koloru lila, takież strusie piórka.

N. 30—31. Rękawiczki do jazdy konno lub powożenia.

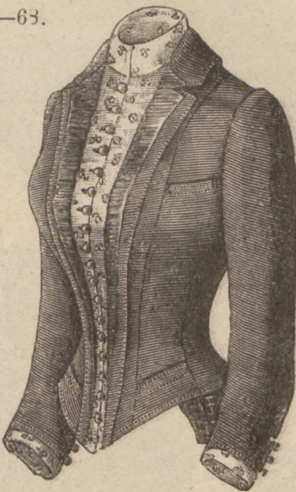
Uszyte z materyału wełnianego z długim włosem, koloru brązowego są od spodu i wzdłuż palców podszyte skórą tegoż koloru; podszewka z barchanu lub kutneru.



N. 5. Stanik złożony z wielu części. Patrz r. 6. Krój na ark. N. 1, f. 1—12.



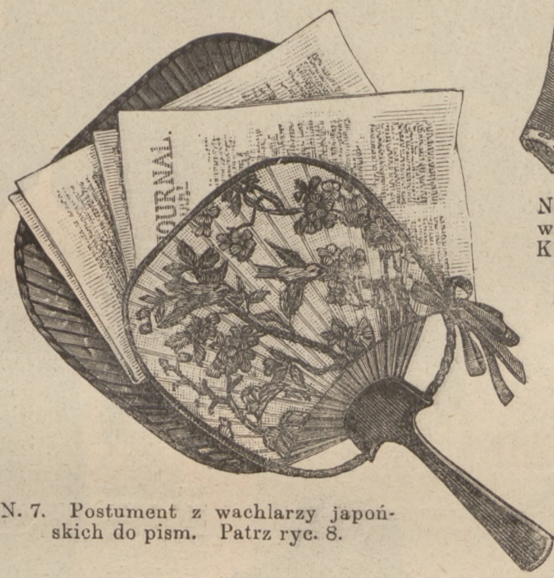
N. 4. Desenik na płaskorzeźbę do ryc. 3.



N. 6. Stanik złożony z wielu części. Patrz r. 5. Krój na ark. N. 1, f. 1—12.

N. 33 i 36. Paletocik dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. XIX, f. 106—110.

Z materyału brązowego *nappé*, na ponsowej kaszmirowej podszewce; fałdy składać można z podszewki i wierzchu razem, lub tylko z materyału zwierzchniego przyczepione do gładkiej podszewki. Rękawki przymarszczone u dołu i wszyte w gładki mankiet; pod plecy podszywa się listewkę z elastyką. Sznur gruby jedwabny dany podwójnie w pasie i na plecach spuszcza się od ramion; guziki i pentlice ze sznura naszyte z przodu podług r. 26.



N. 7. Postument z wachlarzy japońskich do pism. Patrz ryc. 8.



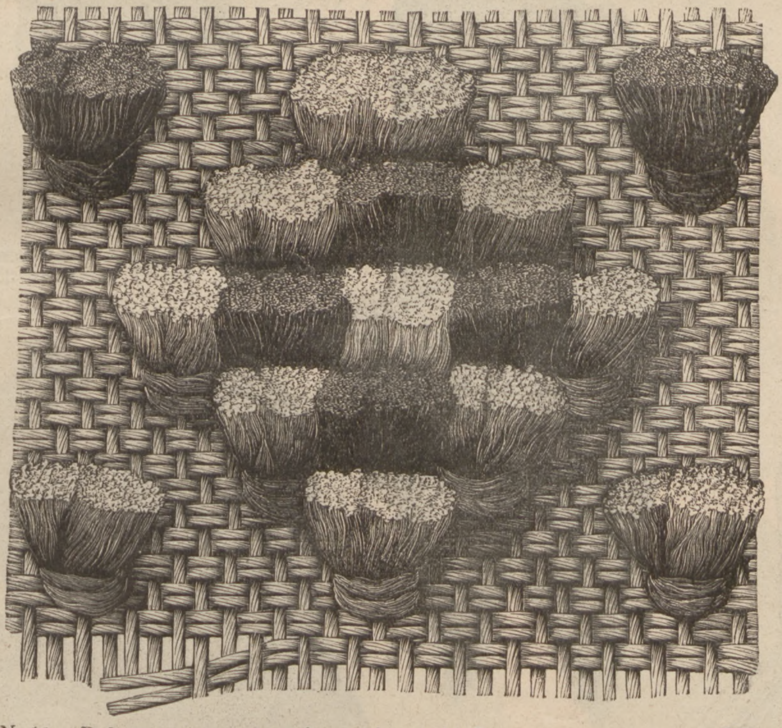
N. 9. Suknia z paletotowym stanikiem. Patrz ryc. 10. Krój i opis na arkuszu N. III, f. 18—27.

N. 34—35. Bluza angielska dla dziewczynki lat 7-9. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 52—55.

Rycina 34 przedstawia z przodu sukienkę krojem angielskim z granatowego dyagonalu, oszytą w górze pletnią z metalowych świecących nitek zaś ryc. 35 sukienkę wełnianą w paski, z pliską aksamitną. Fig. 52—54 dają formę podszewki pod długi stanik, z tyłu zapinany, wszyty w pasek 3 cent. szeroki. Cienka linia na plecach i przodach oznacza karczek, krajany tylko ze zwierzchniego materyału i wskazuje naddanie materyału na zmarszczenie (patrz krzyżyk i punkt). Rękaw fig. 55 zbiera się w fałdy podług znaków i wszywa w listewkę zakończoną falbaneczką; tak samo zakończyć wykrój szyi. Spódniczka liczy 208 cent. obwodu, 47 długości i ozdobiona jest czterema zakładeczkami; na przyszyciu opasana szarfa 262 cent. długa, 32 szeroka, oszyta frendzlą.

N. 38 i 47. Suknia z długą tuniką. Krój na arkuszu N. X, fig. 62.

Ciemno zielony materyał wełniany i biała materya surah użyte na suknię przedstawioną z przodu na r. 47 a z tyłu na ryc. 38; z materyi dana plisowana kamizelka z kołnierzykiem i podłożenie pod ząbki brzeżne, przy staniku drobniutkie, przy draperyi 6 c. szerokie. Spódnica podszewkowa zakończona 8 c. szerokiem plisowaniem, z boku zaś o ile widoczna z pod tuniki przykryta przemarszczeniem. Na fig. 62 daliśmy wymiar draperyi; zaczynając od prawego brzega, górny brzeg draperyi z przodu od 1 do 94 sfałdowany, od 94 do 150 zmarszczony, dalej znów sfałdowany wszyty jest w pasek. Tylna połowa draperyi (środek oznaczony linią kropkowaną) składa się od 180 do 228 i od 278 do 340, gwiazdką do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka w dwa pukle, dalej przyszywa brzeg 228 do 278 w około rozporka a resztę sfałdowawszy wszywa w pasek. Tylny brzeg boczny spada gładko, przedni zaś przy krzyżyku lekko się podpina i przyczepia na sukni, prócz tego potrzeba gdzieniegdzie podług znaków i podług figury przyczepić fałdy żeby się nie rozsuwały. Na staniku prócz kamizelki dane wzdłuż ranwersy, stopniowo zwężające się do dołu.



N. 11. Robota tkacka z deseniem w kwaciki. Patrz fig. 69 i ryc. 16 w N-rze 46.



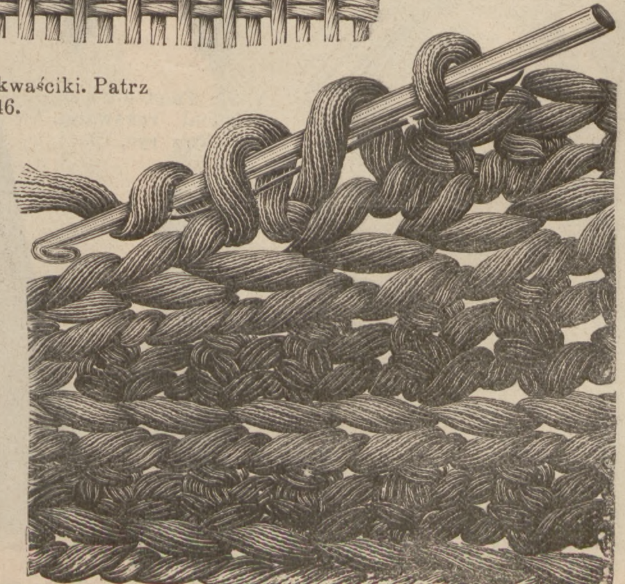
N. 10. Suknia z paletocikowym stanikiem. Patrz ryc. 9.

N. 39. Suknia z vêtement. Krój i plecy na arkuszu N. XXV. fig. 121—122.

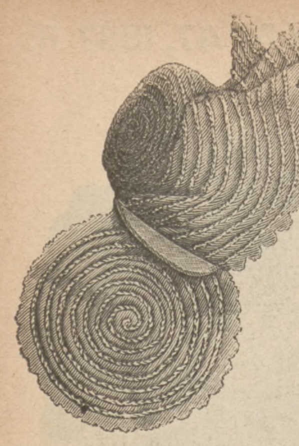
Gładki i deseniowy materyał lub materya i wełna użyte są na suknię przed-



N. 8. Część haftu do wachlarza ryc. 7.



N. 12. Tło szydełkowe do peleryni ryc. 24 w N-rze 46.



N. 13—14. Kapotka filcowa naszyta sznureczkiem.





N. 20. Łepek zajęczy do ozdoby kapelusza r. 18.



N. 21—22. Paletocik wcinany. Krój i opis na arkuszu N. XIII, fig. 74—78.



N. 28—29. Kapotka z wygiętem rondk.



N. 18. Boa mufka i berecik futrzany. Patrz ryc. 48 i 49.

N. 17. Kapotka dla dzie(c)ka. Krój na ark. N. XXVI fig. 123.

N. 15. Czapeczka dla małego chłopczyka.

N. 16. Kapelusik dla dziewczynki.

N. 19. Paletocik z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 37. Krój na arkuszu N. XV, figury 81—86.



N. 36. Paletocik dla dziewczynki. Przód patrz ryc. 33.



N. 43. Przód do do ryc. 44.



N. 37. Paletocik z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 19.



N. 38. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 47. Krój na arkuszu N. X. fig. 62.

N. 39. Suknia z vêtement. Krój i plecy na ark. N. XXV, fig. 121—122.



N. 40. Kwaścik futrz. do ozd. mufek.



N. 41. Płaszczyk dla starszej osoby, patrz ryc. 31 w N. 46. Krój i opis na ark. N. VI, fig. 41—45.

N. 42. Paletot wcinany. patrz ryc. 1 w N. 47 Krój na arkuszu N. V, f. 34-40.



N. 44. Płaszczyk na futrze. patrz r. 43. Krój peleryny i kapturka na arkuszu N. XIV, fig. 79—80.

N. 45. Paletocik dla dziecka lat 3—5, patrz ryc. 52. Krój na ark. N. VII, f. 46-51.

N. 46. Krótkie okrycie, patrz ryc. 23. Krój na ark. N. IV, fig. 28—33.

N. 47. Suknia z długą tuniką, patrz r. 38. Krój na ark. N. X, fig. 52.

N. 48. Boa futrzane, patrz ryc. 18.

N. 49. Berecik futrzany. patrz ryc. 18.

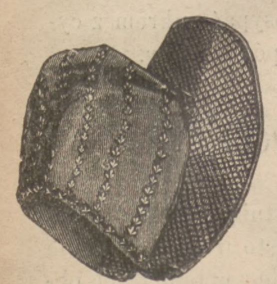


N. 25—26. Kołnierz i mufka. Krój na arkuszu N. XXII, f. 115.

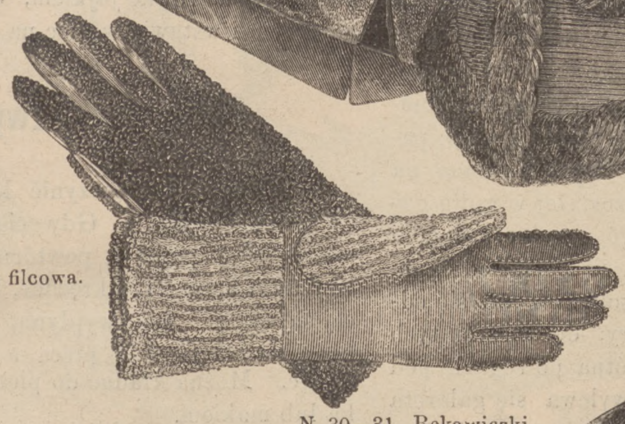
N. 23. Krótkie okrycie. Patrz rycinę 46.



N. 24. Dolmanik z futrem. Krój, plecy i opis na arkuszu N. XXIII, fig. 116—117.



N. 27. Kapotka filcowa.



N. 30—31. Rękawiczki do powożenia lub jazdy konno.



N. 32. Kapelusz okrągły.



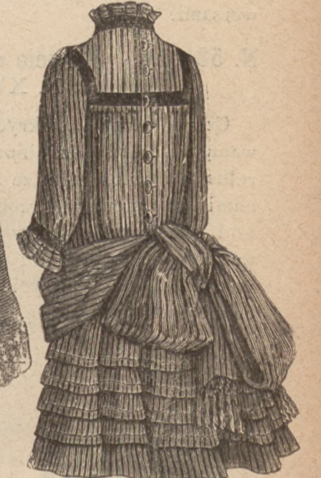
N. 33. Paletocik dla dziewczynki lat 5—7. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 106—110. Patrz r. 36.

N. 34. Bluza angielska dla dziew. lat 7—9. Krój na ark. N. VIII, f 52 55. Patrz r. 35.



N. 50—51. Paletot dla chłopca lat 10—12, Krój i opis na arkuszu N. XVI fig. 87—93.

N. 52. Paletocik dla dziecka lat 3—5. Patrz ryc. 45. Krój na arkuszu N. VII, figury 46—51.



N. 35. Bluza angielska dla dziew. lat 7—9. Krój na arkuszu N. VIII, f 52—55. Patrz ryc. 34.



N. 53—54. Okrycie z szalowemi przodami. Krój na ark. N. XVIII, f. 102-105.

stawioną z przodu na ryc. 39 a z tyłu na fig. 122; spódnica ułożona z przodu w drobne z tyłu w szerokie płaskie fałdy, schodzące się do środka, dane na plastronie stanika. Vêtement z odcinanym stanikiem, ma przody (patrz *b* na fig. 121) gładko spadające na suknię, tylny zaś bryt (patrz *c* na fig. 121) w górze ścięty w ząb skośny, podpięty jest w środku podług znaczków. Gładkie rękawy zakończone mankietem deseniowym.

N. 43—44. Płaszczyk na futrze. Krój pelerynki i kapturka patrz na arkuszu N. XIV, fig. 79—80.

Formę płaszczyka dopasować można podług kroju do ryc. 1 w N-rze 46 i 42 w dzisiejszym, krój peleryny dajemy na fig. 79. Wierzch z ciemno granatowego dyagonalu podbity jest futrem, które z tyłu w fałdach zastąpione jest podszewką watowaną. Z przodu do zapięcia na kryte guziki podszyta listwa 6 cent. szeroka. Kapturek wyłożony fałdowanym atłasem i zakończony kwaścikiem. Pelerynę wykończa się oddzielnie i naszywa z wierzchu przy szwie łączącym plecy z bokami, na ramionach wpuszcza w szew a pod szyją wraz z płaszczykiem i kapturkiem wszywa w kołnierzyk stojący 5 cent. szeroki. Na wcięciu stanu do pleców przyszywa się od spodu wstążkę do wiązania. Obłożenie futrzane (mouflon) liczy z przodu i w około szyi 11 cent., przy rękawach 13, u kapturka 7 cent. szerokości; przy pelerynie u dołu liczy 13 cent. w górze zaś 9 cent.

N. 45 i 52. Paletocik dla chłopca lat 3—5. Krój na arkuszu N. VII, fig. 46—51.

Rycina 45 przedstawia paletocik z białego lodenu oszyty krymskiemi barankami, zaś ryc. 52 z granatowego sukna z pluszem w pasy. Fig. 46 daje formę lewej połowy przodu, prawa zaś zachodząca na wierzch odznaczona cienką gładką linią, jest w górnej połowie z brzegu złożona w kontrafałdę w dolnej przymarszczona. Krótkie plecy dopełnia część oddzielna 27 cent. długa, 43 szeroka, złożona w kontrafałdę, z boków zakończona ranwersami.

N. 53—54. Okrycie z szalowemi końcami. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 102—105.

Czarne pluszowe okrycie ma kolorową jedwabną pikowaną podszewkę ozdobione jest bogatą pasmanteryą z perełkami i obłożeniem ze skunksów zakończonem pomponami futrzanemi. Przody zapinają się na kryte haftki pod plastronem pokrytym pasmanteryą, przyszytym na prawej połowie przodu podług linii cienkiej, a do lewej przypinanym. Naszycie futra na przodach także oznaczone jest cienką linią.

Przepisy gospodarskie.

Pasztet zimny z szynki.

Bierze się szynka średniej wielkości, obmywa do czysta, kładzie do wrzącej wody, i tak na całą noc się zostawia. Potem obrzyna się wszystko co czarne i niezdatne do użycia, kość się wybiera ze spodu, co się uskutecznia, czyniąc nacięcie w mięsie wzdłuż kości a skóra się odrzuca. Teraz przekłada się do garnka, przeznaczonego do duszenia, przydają się tłuczone goździki; angielskie ziele, pieprz, wiązka ziół z bazylii, tymianku, majeranu, pietruszki, liść bobkowy, siekana cebula lub szalotki: wlewa się na to tyle wina i octu, aby szynkę objęły, nakrywa się szczelnie i tak zostawia na dni parę. Potem oblepia się garnek, i szynka gotuje się przez parę godzin powolnie, to jest tak aby tylko wrzała. Sporządza się *farsz* z wołowego odgotowanego udźca, który wyżyłowany sieka się drobniutko ze świeżym łojem nerkowym, obranemi z ości, sardelami, szalotkami, kaparami, pieczarkami i truflami: do tej massy dodaje się drobniutko krajana skórka cytrynowa, kwiat muszkatołowy tłuczony, trochę pieprzu, kilka jaj i mała ilość chleba tartego razowego. Wreszcie sporządza się *pasztet* na misce blaszanej. Ciasto listkowe nie wałkuje się zbyt cienko, ale grubości dwóch tylców noża; kładzie się na tem blaszana miska, w której ma być pasztet i ostrym nożem wyrzyna się ciasto do koła. Tak wykrojona sztuka ciasta, osypuje się naprzód delikatnie mąką, składa się we dwoje a osypawszy znowu trochą mąki, składa się we czworo i dla ozdoby karbuje nożem; robi się potem z niego nakrycie pasztetu, reszta ciasta rozkrawa się w pasy na rękę szerokie. Następnie misa smaruje się masłem, na niej się ustawia sztuka przyrządzona ciasta, kładzie się farsz, na farsz ostudzona szynka, wyjęta z sosu na nią reszta farszu, na ten nakrywka a na nią kraniec czyli brzeg i oboje smaruje się białkiem. Ten pasztet się piecze przez półtory godziny: wyjęty z pieca, przestudza się i dodaje następująca *galareta*. Dwie lub trzy nóżki cielęce, wymyte, oczyszczone i usiekane, jedna kość i dwa piszczele cielęce kładą się do garnka, zalewają winem, octem, i wodą po równej części a gdy się odszumuje, przydaje się pokrajana cebula, skórka cytrynowa, korzenie, bobkowe liście, sól, karuk wymoczony i jeżeli można, trochę upiłowanego rogu jeleniego. Wszystko mocno się gotuje: potem cedzi się, zbiera się tłustość, jeszcze się parę razy zagotuje, parę łyżek z tej polewki mięsza się z białkiem, na śnieg ubitym, dolewa się do pozostałej w rądlu galarety i dopóty się łyżką w górę podnosi, dopóki się białko nie zetnie: odstawia się potem od ognia i wciska trochę cytrynowego soku. Teraz się odwraca stołek nogami do góry; do czterech tych nóg przywiązuje się kawał płótna po rogach; pod nim stawia się płaska miska, wylewa się galareta na płótno, aby przeciekła. Gdy się scedzi i nieco skrzepnie, przelewa się do wystudzonego pasztetu i w nim zostawia aż do zupełnego wystygnięcia.

Pasztet w cieście drożdżowem.

Kwaterkę mąki rozczynić kwaterką ciepłego mleka i dwoma łutami drożdży. Gdy trochę podrośnie, wlać ubite 4 jajka, pół szklanki sklarowanego masła, wymięszać wszystką mąkę, wyrobić dobrze, aż ciasto będzie odchodzić od łyżki i zostawić, żeby rosło. Tymczasem zrobić farsz następującym sposobem: Kawałki pozostałej pieczeni wołowej lub cielęcej usiekać jak można najdrobniej, rozpuścić 3 łyżki masła, przesmażyć w niem usiekaną cebulę, a następnie wrzucić do rądelka mięso, 2 łyżki tartej bułki i jedno, lub dwa jaja, stosownie do ilości mięsa, posolić, popieprzyć i wymięszać wszystko razem. Gdy już ciasto podrosło, brać po kawałku jak na pączki, rozpłaszczyć, nałożyć przygotowanym farszem, zawinąć ciasto, zrobić okrągłą gałkę, umoczyć w roztopionem maśle, ułożyć w rądlu wysmarowanym masłem i wysypanym bułeczką. Gdy wszystko ciasto wyjdzie, wtedy zalać jeszcze gałki w rądlu rozpuszczonem masłem, a gdy trochę podrosną wstawić w piec gorący na małą godzinkę, i po upieczeniu wyłożyć na półmisek.

Ciasto maślane na małe bułeczki, plecionki, i t. p. pieczywo.

Dwie kwarty letniego mleka, trochę soli, 10 łutów drożdży, rozbić z mąką i zostawić w cieple, aby się ciasto podniosło. Gdy z wierzchu ciasto popęka, wlać 20 żółtek, ubitych do białości z 2 szklankami cukru, wybijać dobrze, wlać pianę ubitą z pozostałych białek, dodać tyle mąki, aby ciasto było gęste, jak na bułki, w końcu wlać 3 szklanki topionego masła, trochę cytrynowej skórki, gorzkich migdałów i wybijać ciasto, dopóki od rąk odchodzić nie będzie. Wtedy przykryć i zostawić w cieple, żeby podrosło, a potem brać z ciasta po kawałku wałkować na stolnicy wałeczki, grubsze po środku niż na końcach i splatać jak warkocz trzy wałeczki razem. Ułożyć na blasze wysmarowanej masłem i osypanej mąką, a gdy podrosną ciasteczka, smarować rozbitem jajkiem, osypać cukrem, cynamonem zmięszanym z rodzenkami drobnemi, siekanemi migdałami i wstawić na trzy kwadranse do pieca. Z tego samego ciasta robią się małe bułeczki, biorąc ciasta wielkości orzecha włoskiego, zgnieść lekko od spodu, układać na blasze, gdy podrosną smarować żółtkiem i stawiać do pieca.

Briosze.

Ciastka te urządzają się z tego samego ciasta następującym sposobem: Wziąć kawałek ciasta, rozwałkować na stolnicy na cienki placek, posmarować sklarowanem masłem, posypać czarnemi rodzenkami zmięszanemi z cukrem i cynamonem. Zwinąć placek szczelnie w trąbkę i krajać z niego kawałki na dwa palce szerokie, które układać na blasze, posmarować jajkiem, osypać cukrem z cynamonem i wstawić w piec na pół godziny.

Obwarzanki zwyczajne.

Garniec mąki rozczynić letnią osoloną wodą i 4 łutami drożdży. Gdy ciasto ruszy, wyrobić mocno i dać podejść powtórnie, potem robić obwarzanki proste lub kręcone, i wrzucać do gotującej się wody. Jak wypłyną, wyjmować kijkiem, kłaść na blachę i do pieca, a skoro się zrumienią wyjąć. Można kładąc do pieca posypać czarnuszką lub makiem.

Obwarzanki drobne.

Kwartę mąki, pół funta cukru, trochę skórki cytrynowej, lub gorzkich migdałów i 6 całych jaj zagnieść na ciasto twarde jak na makaron, robić z tego niewielkie obwarzaneczki, puszczać na wrzącą wodę i wybierać łyżką durszlakową, jak na wierzch wypłyną. Kłaść na przetak, przelać zimną wodą, potem układać na deskę i wstawić w piec do zrumienienia.

Obwarzanki parzone.

Pół kwarty wody zagotować z kwaterką masła sklarowanego i łyżką cukru; w gotującą się wsypać pół kwarty mąki, mięszając gotować, dopóki od rądla odchodzić nie będzie. Wtedy odstawić, wystudzić, wbić po jednemu 10 jaj i wsypać pół kwaterek cukru, wymięszać doskonale, brać po kawałku ciasta, utarzać na stolnicy w mące, robić wałeczki, utarzać całe w cukrze z migdałami siekanemi robić obwarzanki, układać na blasze i wstawiać w piec do zrumienienia.

Sucharki karlsbadzkie.

Jaj całych 10 rozbić do białości z funtem tłuczonego cukru, dosypując po trochu półtory szklanki mąki, oraz dla zapachu wanilii lub cytrynowej skórki, wymięszać, wylać na blachy wysmarowane sklarowanem masłem i wstawić do gorącego pieca. Skoro nabierze rumianego koloru, wyjąć, pokrajać na kawałki i ususzyć w letniem piecu.

Sucharki na pianie.

Ubić pianę z 10 białek, wlać 6 łutów drożdży, wsypać trochę mąki, wymięszać dobrze, osypać z wierzchu mąką i postawić w cieple, żeby ciasto podeszło. Skoro się ruszy, wsypać szczyptę soli, wlać 10 żółtek ubitych z cukrem do białości, pół kwarty letniego mleka, wymięszać dobrze dobierając tyle mąki, aby dały się robić małe bułeczki, wybijać, aż od rąk ciasto odchodzić będzie, wlać półtory kwaterki sklarowanego masła, wymięszać i dać podejść. Potem robić bułeczki, kłaść na blachę, jak podrosną posmarować jajkiem i wstawić do niezbyt gorącego pieca. Upieczone rozrznąć prędko, umoczyć w śmietance, osypać cukrem i podsuszyć.